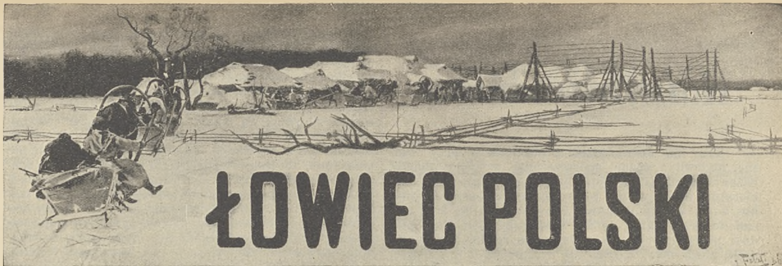


Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr. 123

№ 9. | Warszawa, 18 kwietnia (1 maja) 1904 r. | Rok VI.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.



Mieszaniec lwa z tygrysem.

(Patrz art. w N-rze 7, str. 108).

AKLIMATYZACYA BAŻANTÓW.

Trzy lata doświadczeń i obserwacyj przy własnej hodowli i różne spostrzeżenia w wielu obcych bażantarniach, dają już poniekąd prawo do zabierania głosu w tej interesującej kwestyi. Każdy, kto u nas w kraju próbował chować bażanty, dojść musiał do przekonania, że nie wystarczy daną ilość ptaków puścić choćby do oddzielnego rewiru, bo same sobie zostawione, bardzo się rozchodzą i w większej części giną podczas zimy. O ile bażant, szczególnie angielski i mongolski, jest wytrzymalszy na suszę, zimno i slotę nawet od kuropatwy, o tyle na śniegu staje się zaraz ofiarą szkodników. Zwyczaj przyczajania się pod lada osloną, który go latem od wielu niebezpieczeństw ochrania, bażant bo nawet na pozornie golem polu świetnie ukryć się potrafi, zwyczaj ten staje się na śniegu powodem zguby. Ciemne upierzenie i ten nieszczęśliwy, długi ogon, zdaleka już zdradzają biedaka, a o ucieczce myśli dopiero, gdy zostaje odkryty. Nadto sam widok pierwszej ponowy wprawia młode bażanty w jakiś szał przelęknienia, tak, że wtedy rzucają zwykłe schronienie i sznurkiem, jeden za drugim, wyciekają byle gdzie, prosto przed siebie, niewiadomo dokąd i to najczęściej w kierunku wschodnim, lub wschodnio-północnym. Stąd też nazwano w Niemczech bażanty—uciekiniery pionierami zachodniej cywilizacyi... W czasie tych wędrówek dużo ich ginie od drapieżników, nie mówiąc już o kłusownikach, którzy nawet lada cegłą zabić mogą warującego w ukryciu, bażanta. Dużo też kuropatw ginie w zimie, gdy szukają opieki i wyżywienia w chłopskich budynkach; zawsze jednak większa częć zostaje i łatwo dają się utrzymać przy budkach do karmienia. Bażanty do budek takich w polu nie idą; nasiadają co prawda regularnie paśniki lub linie, na których się je do karmienia trąbką zwołuje; ale zawsze duży procent przy śniegu przepada. Trzeba zatem koniecznie naturalnej hodowli przychodzić z pomocą przez hodowlę sztuczną.

Dużo pisano o tej sztucznej hodowli, przedmiot jednak wcale nie jest wyczerpany; jest to bowiem zupełnie fachowa umiejętność, do której i po latach doświadczenia nie każdy dojdzie. Wielu miłośników polowania ma bażantarnie, ale mało który może się poszczycić prawdziwie dobrym bażantarnikiem. Prawie co rok zdarzają się jakieś nieszczęścia przy wychowaniu piskląt. To jedzenie przydymione, to mrówek zakrakło, a o włóknach mięsnych Sprata jakoś się nie pomyślało, to łasice wydusiły, to się potopiły, lub zdechły niewiadomo na co. Już samo przechowanie i podkładanie jaj wymaga odpowiedniego starania, a cóż dopiero wyląg i początkowe chowanie. Nie każdy bażantarnik nawet wie, jak karmić tylko co wylężone pisklęta i kiedy je karmić, oraz poić pierwszy raz, wiele dawać na raz, wreszcie jak stopniować zmiany w karmie. Dobór coraz innej, mieszanej paszy, czystość, skrupulatność i drobiazgowa regularność są zasadą, od której jednorazowego nieraz uchybienia cały chów zależy. Potem, gdy w 8 do 14 dni po wykluciu przychodzą napady dzikości na małe bażanty, trzeba całą noc przy lampie i ogniu czuwać, aby w danej chwili je wypuścić i indyczki przy alarmie uspokoić. W pewnej bażantarni w księstwie Poznańskiem, jednej nocy rozbiło się na śmierć w klatkach 800 ogłupiałych ze strachu piskląt, podczas gdy nowo sprowadzony „Fasanmeister“ spokojnie spał obok, w swej chałupie.

Kiedy się nareszcie początkowe te trudności szczęśliwie ominęło, zaczyna się wyprowadzanie ptaków na coraz dłuższe spacery, starannie wybrawszy odpowiednie pastwisko, dalej nauka latania *(Flugversuche)*, najlepiej przez sadzawki i przyuczanie do ciągłej zmiany noclegów z indyczkami, naprzód na drążkach przy szopie, potem na drzewach, coraz dalej w las. W tym okresie bażanty narażone są na otrucie grzybami lub plwociną pająków, na uduszenie przez połknięcie za dużej żabki, lub myszki etc., wreszcie na dyfteryt i mnóstwo innych chorób, wymagających każda oddzielnych środków i innego pielęgnowania. Zadalekoby nas zaprowadziło wdawać się tu w drobne szczegóły, tembardziej, że zdania są jeszcze podzielone i każdy hodowca ma mniej więcej swoje własne empiryczne recepty. Chodzi tylko o stwierdzenie pewnika, że nie jest to tak łatwe i proste, jak się wydaje, a stąd tak mało bażantarników ze stu

---

Alfred Lorck.

PRZYGODA MYŚLIWSKA REDAKTORA.

(Humoreska konkursowa).

Działo się w Berlinie. Był tam redaktor pewnego pisma, do którego często zwracali się jego przyjaciele—prenumeratorzy, będący zarazem myśliwymi, po rozmaite rady i wskazówki z dziedziny łowiectwa. Gdy mieli jakieś kwestye lub trudności, gdy chcieli coś nabyć, załatwić, lub spór rozstrzygnąć, — przybywali z tem do swego redaktora. I nigdy nie pozostali bez odpowiedzi.

Rzecz oczywista, nie fatygowali się osobiście, lecz zawsze tylko listownie, a przeto nie znał on też tych swoich przyjaciół, natomiast z czasem poznał gruntownie ogólny charakter ludzi w zielonych kurtkach, oraz wszelkie potrzeby myśliwych. Wszakże jedna rzecz była dla niego dotychczas zupełnie obca: las. Nie ten las jednak, w którym co niedziela spotykał ochoczych spacerowiczów w towarzystwie mniej lub więcej przystojnych kobiet, lecz ten, o którym często w listach wspominali uprawiający łowiectwo prenumeratorzy.

W miarę jak redaktor coraz więcej zapoznawał się z lasem i polowaniem — teoretycznie, dzięki poruszanym ciągle w gazecie kwestyom bieżącym, wzrastała też z każdym dniem tęsknota redaktora za poznaniem w praktyce lasu w całej wspaniałości i uroku myśliwskim. A gdy raz redakcya ogłosiła konkurs strzelecki, w którym bardzo licznie i chętnie uczestniczyli wszelacy myśliwi, redaktor wreszcie powziął zamiar stanowczy i rzekł, uśmiechając się z zadowoleniem:

— No, czekajcie, jeżeli wy wtargnęliście piórem i atramentem do mojego rewiru, to ja przy najbliższym urlopie wtargnę do waszego z kulą i prochem; pójdę na polowanie.

Słowo się rzekło... Nadszedł czas urlopu, a co się wtedy stało, opowiem wam teraz, jeżeli uwierzycie mi na słowo, gdyż to, co opowiem, nie jest bynajmniej „bajką“, aczkolwiek brzmi na początek, jak bajka.

Redaktor więc, gdy tylko zaczął się urlop, wstąpił do porządnego magazynu i nabył wszelkie przedmioty gotowe, nowiuteńkie, w najlepszym gatunku, które uważał za pożyteczne i niezbędne na polowaniu. Naturalnie, że wszystko było eleganckie, wytworne i piękne, ażeby panowie myśliwi w lesie mieli o nowym koledze dobre pojęcie, nie lekceważyli go.

Nabył przeto śliczne, żółte kamasze, dosyć wysokie, torbę myśliwską wielkości sporej walizy ręcznej, ładownicę na patrony, tak wypchaną, że możnaby jej zawartością armię zdziesiątkować; kupił wreszcie zawadyacki kapelusik myśliwski. Tylko strzelby

podłożonych, najlepszych jaj, do jesieni 75 ptaków zdrowych wychowa. Że czasem bywa tylko 30, a nawet 5 lub 6, nie należy bynajmniej do wyjątków. Kto zadał sobie pracę drobiazgowo koszta obliczyć, musi wiedzieć, jak kosztowną jest hodowla bażantów. Przedewszystkiem nie warto jej urządzać na małą skalę, inaczej zabity kogut do pięciu rubli kosztuje, lub nawet więcej; trzeba też zawczasu przygotowywać odpowiednie do chowu warunki, a potem dopiero przystępować do zakładania bażantarni.

Kapitał nakładowy jest znaczny; prócz pomieszczenia bowiem dla bażantarni, potrzebna duża, dobrze urządzona wylęgarnia, skład na karmę i kuchenka, dalej duża szopa, gdzie się na podłodze ustawia klatki z pisklętami; trzeba też mieć pomieszczenie dla indyków i kur japońskich, wreszcie nie można się obejść bez wolier dla przezimowania złapanych bażantów. Naprzeciw szopy z klatkami niezbędnie potrzebny jest gąszcz świerkowy, a obok jasne, słoneczne miejsce z piaskiem lub popiołem do grzebania, po całej zaś bażantarni muszą być rozrzucone liczne gąszcze świerkowe, dużo poletek z różnem zbożem, ścieżki do karmienia, kończące się paśnikami i jaknajwięcej ścieżek do łapania szkodników. W bażantarni Zypelskiej przygotowanie terenu trwało cztery lata, zanim można było sprowadzić bażanty, ale też znajdują się w niej obecnie wszystkie warunki do utrzymania co roku paru tysięcy bażantów. Samo sadzenie świerków, na żądanem miejscu przy największem staraniu i nawożeniu wymaga paru lat, zanim naprawdę jako osłona służyć mogą.

T. P.

(*C. d. n.*).



ZAJĄC POSPOLITY

(Lepus timidus)

przez

Wiktora Stephana.

(Praca, nagrodzona I-ą nagrodą na konkursie Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa).

(*Ciąg dalszy*).

Pod względem gruntu, bulwa nie jest wybredną, udaje się nawet na lichych, suchych i na mokrych gruntach. Raz zasadzona, ciągle się odnawia, chociażby jej bulwy nawet wykopano, najmniejszy bowiem korzonek wystarcza do odtworzenia całej rośliny. Rośliny tej znamy dwie odmiany, jedna ma białe, a druga czerwone bulwy; ta ostatnia jest plenniejsza i więcej zasługuje na rozpowszechnienie. Kwiat ma podobny do słonecznika, jednak znacznie mniejszy, 3 do 5 cm. średnicy. U nas kwitnie niekiedy podczas pogodnych, długich jesieni, nasienia jednak nie wykształca. Początkowo liście są gorzkawe, mróz dopiero przekształca goryczkę na cukier i wówczas zwierzyna chętnie się niemi żywi.

Roślina ta powinna zająć u nas pierwsze miejsce w remizach.

Najmniej do zakładania remiz nadaje się sosna, nie znosi bowiem przycinania i liche daje schronienie. Dlaczego mimo tego, do remiz bywa używana, wytłómaczyć nie umiem.

Nieodpowiednie są także regularnie rzędami założone remizy ze świerków, gęsty ich bowiem splot przycinanych gałęzi utrudnia, a nawet uniemożliwia stadku kuropatw zerwanie się lub zapadanie do remizy, zającom znowu dostarczają wyłącznie tylko schronienia. Wielkość remizy zawisłą jest od okoliczności, oonajmniej jednak $^1/_5$ morgi zajmować powinna. Większych remiz nad jedną morgę niema potrzeby dla zajęcy zakładać.

Mając np. obszar 1,000 morgów pola, lepiej będzie mieć na każdych 100 morgach jedną jednomor-

nie nabywał, ponieważ sądził, że wystarczy w zupełności stara flinta, której mu pożyczał chętnie myśliwy, dobry znajomy; prawda, jeszcze o jednem zapomniał: nie kupił pary butów nieprzemakalnych.

Dobrze pozatem zaopatrzony, udał się z wesołą miną na miejsce przeznaczenia.

Leśniczy, do którego miał redaktor list polecający, przywitał gościa bardzo uprzejmie, a Puks, „bezczelny" jamnik, warczał tak niewyraźnie, jakgdyby mu coś utkwiło w gardle. Puks bowiem był nietylko najmądrzejszym ze wszystkich jamników, ale jeszcze współpracownikiem wszystkich humorystycznych pism niemieckich, w których figurowała stale jego postać niezwykła. Uważając się przeto za kolegę przybyłego redaktora, warczał tym razem bardzo dyskretnie, nie wyrządzając psoty gościowi, jak to Puks lubił czynić nieraz.

Wieczorem siedzieli razem w dobrym humorze nad wybornym napitkiem, kosztując „co chwila jeszcze jedną szklaneczkę". Biedny redaktor był jednak w prawdziwym kłopocie, gdy leśniczy, opowiadając różne „kawały", posługiwał się gwarą myśliwską i mówił o „farbie", „kotle", „dotrzymywaniu" i t. p. rzeczach, o których biedak nie miał dokładnego pojęcia, zajęty tylko mądrością redakcyjną. Jedno wszakże utkwiło mu w pamięci z całej rozmowy: po rewirze chodzi kozioł, stary, kapitalny rogacz.

„Kozioł, prawdziwy, żywy kozioł, na którego mam rzeczwiście polować"—to była ostatnia myśl, z jaką redaktor usnął wreszcie późną nocą. Ciężko mu było na sercu i głowa podobnież ciężyła; był zmęczony po nasłuchaniu się opowiadań myśliwskich i wypiciu mnóstwa kieliszków.

Z samego rana ktoś zapukał mocno do drzwi, raz, dwa razy, potem trzeci raz z taką siłą, jakby szło o małą kanonadę. Przeklinając, zerwał się redaktor z łóżka, przetarł oczy, wyciągał się, ach, tak bardzo zmęczony i pojął wreszcie, o co idzie.

Teraz rzecz nie wydała się tak ponętną; w szarym półmroku porannym „prawdziwy" kozioł kapitalny zamienił się na „jakiegoś głupiego kozła", który go właściwie, wcale a wcale nie obchodzi, i prawie..., ale nie; kto zaczął, musi skończyć. Zabrał się więc do toalety. Naturalnie, ubrał się prawidłowo, według wszelkich wymagań przyzwoitości.

Wreszcie był wystrojony zupełnie; każdy włosek znajdował się na właściwem miejscu. Biedny Puks niecierpliwił się i znowu musiał warczeć mimo woli. W końcu udano się do lasu jodłowego. Po drodze było bardzo przyjemnie. Szli obok siebie, prowadząc rozmowę ożywioną w blasku wschodzącego słońca. Doszedłszy do lasu, redaktor zauważył, że wyobrażał sobie czar jego większy właściwie, bardziej porywający, gwałtowniejszy, a teraz przedstawia się to wszystko dosyć powszednio i trzeźwo.

Przełożył *J. K—z.*

(*Dok. nast.*).

gową remizę, aniżeli na całym obszarze jedną dziesięciomorgową.

Remizę dobrze będzie okopać rowem, lub ogrodzić barycrami, aby bydło tam nie włazilo. Wysokich drzew w remizie być nie powinno; na nich bowiem czyhają wszelkiego rodzaju ptaki drapieżne na przechodzącą zwierzynę.

Zazwyczaj spotyka się remizy mniej lub więcej kwadratowe, dlaczego właśnie tę formę obierano, trudno odgadnąć, wiadomo bowiem, że kwadrat najkrótszemi bokami zamyka względnie największą powierzchnię, a tu właśnie idzie o to, aby jaknajdłuższemi bokami zająć jaknajmniej ziemi pod remizę. Remiza więc ma mieć kształt wydłużonego prostokątu i boki mają się mieć do siebie, jak 1:3 lub 1:4 i t. p.

Remizy, jako magazyny ze zwierzyną, należy często obchodzić i przeszukiwać, gdyż stawianie sideł i kłusownictwo w nich właśnie się koncentruje.

Zwierzyna bowiem przebywa albo w samych remizach, albo w ich pobliżu. Baczną uwagę zwrócić na drapieżne zwierzęta i tępić je wszelkiemi sposobami; jeżeli bowiem nie zwrócimy pilnej uwagi i nie zastosujemy energicznych środków tępienia szkodników, to remizy wywrą na hodowlę wprost przeciwny skutek i zamiast więcej, będziemy mieli zwierzyny coraz mniej. Tutaj szczególnie wyzyskać należy znane upodobanie różnego rodzaju czworonożnych drapieżników, że lubią chodzić po udeptanych ścieżkach, brózdach i t. p. Otóż w remizach dobrze jest specyalnie w tym celu takie ścieżki pourządzać i czysto utrzymywać, aby na nich właśnie zastawiać pułapki i wszelkie inne środki tępienia. Jest to na pozór rzecz niewielkiej wagi, i u nas mało ma zastosowania, a jednak przy racyonalnem wykonaniu i zastosowaniu ścieżek — dobroczynne skutki tej metody tępienia drapieżników, przechodzą wszelkie oczekiwania i nagradzają podjęte koszty i trud sowicie. Dlatego sposób tego tępienia, zasługuje na najlepsze polecenie i rozpowszechnienie.

Aby oznaczyć, ile zajęcy w danej miejscowości odstrzelić można, potrzeba przedewszystkiem poznać ilość zajęcy. W tym celu wychodzić rankami i wieczorami na wychodnego, w zimie, po ponowie, obliczać dokładnie tropy, stawać na ścieżkach wieczorem i obliczać, ile też zajęcy przesunie się jedną ścieżką, obserwować miejsca, w których się karmę zadaje, ile też zajęcy przy jednej wiązance żeruje i t. d.

Przy tropieniu zajęcy po obwodzie lasu lub pola, oblicza się ilość tropów w jedną stronę i sumę dzieli się przez trzy, otrzymany iloraz ma być cyfrą przybliżoną znajdujących się zajęcy w tropionym kawałku.

Badając tak, dojdziemy do przekonania, że w tej okolicy taka, a nie inna liczba zajęcy się utrzymuje, tyle a tyle potrzeba do rozpłodu i normalnego chowu, a reszta powinna być odstrzelona. W ten sposób ustanawiamy odstrzał.

Ze względu na niebezpieczeństwa, na jakie zając jest narażony, przyjąć należy za zasadę, aby nie odstrzelić więcej jak $^2/_3$ całości. Gdyby wszystkie lęgi zdołały cało się utrzymać, to wówczas możnaby daleko mniej pozostawić, niż $^1/_3$ do rozpłodu.

Niema wątpliwości, że jedna samica urodzi w ciągu roku ośm sztuk młodych, zachodzi tylko pytanie, czy się wychowają? ja zapatruję się bezstronnie na sprawę i przyjmuję do naszego rachunku, że jedna samica przychowa pięć sztuk młodych, a wówczas rachunek tak się przedstawi:

Mamy np. 1,000 morgów przestrzeni (mówiąc bowiem o hodowli, mam tylko taki obszar na względzie, jako minimalny, na którym samodzielnie hodować można zające) i 375 sztuk zajęcy, możemy więc odstrzelić $^2/_3$, czyli 250 sztuk, pozostanie zatem do rozpłodu 125 sztuk, w tem np. biorąc korzystny, do rzeczywistego jednak zbliżony stosunek płciowy, będzie 55 samic i 70 samców.

Każda samica da w ciągu roku 5 młodych, zatem w jesieni roku następnego będzie stan złożony z 275 sztuk młodych i 125 starych, razem 400 sztuk, to jest przyrost zbliżony do naturalnego.

Podany stosunek ilości samców do samic może się wytworzyć i utrzymać w uregulowanem gospodarstwie. Zając rozmnaża się w stosunku prostym do dobroci gruntu, więc na gruntach lepszych przyrost będzie większy, zatem na takich można będzie zostawić mniej do rozpłodu, a przyrost będzie jednakowy.

(C. d. n.).

TERRIERY I PINCZERY.

(Ciąg dalszy.)

14. Aberdeen-terrier. (Terriery aberdyńskie).

Różni się od poprzedzającego mniej masywną budową; szczególniej zad nie jest tak silnie rozwinięty. Uszy nieduże mogą być stojące lub opuszczone. Szerść równie twarda i ostra, jest znacznie dłuższą, niż u poprzedzającej rasy; ogony też są mocno puszyste. Maści aberdyńskie terriery bywają tylko czarnej lub popielatej. Wzrostu, jak powyższe.

Tablice stopni do oceny terrierów trzeciej grupy.

	TERRIERY	
	Szkockie	Aberdyńskie
Wygląd ogólny	10	—
Czaszka	5	20
Morda	5	
Oczy	5	10
Uszy	10	10
Szyja	5	
Pierś	5	25
Korpus	15	
Nogi i łapy	10	15
Ogon	2,5	—
Szerść	15	20
Maść	2,5	
Wzrost	10	—
Razem	100	100

Grupa czwarta.

Godnem jest uwagi, że Anglicy, którym zawdzięczamy najlepsze rasy psów użytkowych, wybornie przystosowanych do pewnych celów, jednocześnie wytworzyli mnóstwo ras zupełnie nieużytecznych i odznaczających się obok tego jakiemiś potwornościami, spotęgowanemi do najwyższego stopnia. Do takich właśnie psich potworków należą przedstawiciele pięciu ras terrierów, zaliczonych przezemnie do grupy czwartej. Wszystkie one mają korpus nadmiernie wydłużony przy bardzo krótkich nogach, a szerść przeważnie tak długą, że pokrywa je całkowicie z nogami i mordami. Pomimo swego potwornego, zewnętrznego wyglądu, pieski te należą bezsprzecznie do ogólnej grupy psów ostrouchych i krótkonogość ich nie wskazuje na krzyżowanie z jamnikami. Są to takie same krótkonogie wyrodki psów ostrouchych, jak jamniki, bassety i spaniele są wyrodkami różnych odmian psów wisłouchych.

Wszystkie krótkonogie terriery są psami pokojowemi, zupełnie bezużytecznemi; ze względu jednak, że mogą się one pojawić na naszych wystawach, podaję choć krótką charakterystykę każdej z tych pięciu ras. Cechy ich wspólne są: *nogi* krótkie, lecz proste i silne;

uszy stojące lub zwieszone, lecz zawsze nieduże, szerokie przy osadzie i zakończone ostro; ogony średnio długie, noszone w stanie spokojnym, opuszczone do połowy na dół, a od połowy nieco zagięte ku górze, w stanie zaś podnieconym noszone horyzontalnie.

15. Skye-terrier. (Skaj-terriery).

Psy te mają szerść podwójną; dolny puch jest gęsty, krótki i miękki; włos wierzchni długi (od 10 do 14 cm.), ostry, dość twardy, leżący równo i gładko bez śladu kędzierzawizny. Włos ten rozdziela się na szyi i grzbiecie na dwie strony, tworząc wyraźny przedział. Na głowie szerść jest trochę większa i krótsza (od 7 do 8 cm.) i zwiesza się z czoła na oczy i na boki głowy. Ogon z sutem piórem. Skye-terrierów istnieją dwie odmiany:

a) Z uszami stojącemi, obrośniętemi na stronie zewnętrznej i na brzegach długim włosem. Włos ten, zwieszając się kaskadą na strony zewnętrzne, sprawia wrażenie, jak gdyby uszy były pochylone na boki i znacznie dłuższe, aniżeli są w istocie.

b) Z uszami zwieszonemi; odmiana ta ma uszy dłuższe, niż poprzedzająca, obrośnięte także długim włosem i zwieszone na dół, przyczem włos porastający uszy, zlewa się z włosami, pokrywającemi szyję.

Obydwie odmiany skye-terrierów bywają maści ciemno lub blado-popielatej, siwej, albo też burej z końcami włosów czarnemi. Szerść na uszach powinna być ciemniejszą, niż na reszcie ciała. Wzrost od 21 do 24 centymetrów.

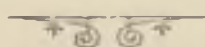
16. Yorkshire-terrier. (Terriery jorkszajrskie).

Różnią się od poprzedzających głównie tem, że nie mają wcale spodniego puchu, a szerść właściwa jest jeszcze dłuższa, tak długa, żeby pokrywała całego psa z nogami, a z czoła zwieszała się na oczy i poniżej mordy. Szerść ta, prosta, błyszcząca i jedwabista, rozdziela się na łbie, szyi i grzbiecie i wisi pionowo z obydwóch stron. Uszy pokryte są włosem krótkim. Dawniej uszy obcinano tak, ażeby do góry sterczały bardzo zaostrzone końce; obecnie Kennel-Club zabronił obcinania uszów, tak jak i u innych terrierów. Uszy nieobcięte, powinny być nawpół stojące, z końcami pochylonemi. Ogony obcinają się do połowy, przyczem powinny być noszone nieco wyżej linii grzbietu. Maść jorkszajrskich terierów jest bardzo oryginalna: głowa, nogi, łapy, uszy i włosy, zwieszające się z czoła są koloru ognisto-złotego, przyczem brwi i uszy powinny być znacznie ciemniejsze; reszta ciała popielato-stalowa lub popielato srebrzysta; ogon ciemniejszy.

Wzrost około 30 cm.

August Sztolcman.

(*Dok. nast.*).



POLOWANIE NA ŁOSIA.

(*Dokończenie*).

Nastaje zupełna cisza. Pogoda piękna, dzień słoneczny. Lekki wietrzyk zaledwie porusza nadbrzeżne sitowia. Słońce chyli się ku zachodowi, gdyż jest już godzina czwarta po południu. Posuwamy się wolno i nasłuchujemy. Myśl moja uporczywie zajęta jest tym spodziewanym łosiem, który gdzieś tu w pobliżu znajduje się i pewnie nasłuchuje także. Odgłosy naszego, niedalekiego obozu musiały dochodzić do niego i niepokoić go w ciągu dnia. Na kogo to on wyjdzie?

— Będziemy strzelali łosia z łodzi — prorokuje wesoło Aleksander, i nadzieja takiego niezwykłego polowania bawi go widocznie, bo wciąż to ze śmiechem powtarza. Płyniemy i zachowujemy się zresztą bardzo cicho.

Upływa kwadrans i drugi...

Naraz ciszę przerywa donośny tętent w głębi lasu—jak gdyby koń przemknął w galopie. Rozlega się wystrzał, a wkrótce po nim drugi. Te dwa strzały wśród martwej, leśnej ciszy, sprawiają piorunujący efekt, gdyż każdy z uczestników polowania wie napewno, że są dane tylko do łosia i że to jest stanowcza chwila polowania. Powtórny wystrzał daje do myślenia, że łoś padł, a ten drugi zapewne służył do dobicia ranionego pierwszym strzałem, zwierza. Polowanie zatem skończone; powstaje tylko ogromne zaciekawienie co do skutków tych wystrzałów, ale niebawem dowiemy się i w tym celu pospieszamy w kierunku naszego obozu. Składam więc broń na dno łódki i dobywam papierosa, gdy wtem w odległości mniej więcej stu kroków przed sobą, słyszę ogromny trzask gałęzi i trzciny u brzegu i plusk wody,—jakieś wielkie cielsko wpadło do wody...

— Łoś! Łoś!—szepcze mój przewoźnik i zaczyna gwałtownie wiosłować. Porywam znów sztucer i wytężam wzrok przed siebie...

Chwila, bez przesady, była uroczysta! Każdy myśliwiec zrozumie stan niezmiernego wzruszenia, jakiego doznaje strzelec z bronią w ręku, gdy za chwilę ma ujrzeć na odległości strzału ten okaz, tak już rzadkiej, najgrubszej, europejskiej zwierzyny. Gorączkę moją zwiększała jeszcze bierna pozycya na dnie łodzi i zależność od pośpiechu i zręczności wioślarza.

Jakoż za chwilę w odległości 70—80 kroków przed nami wynurza się z sitowia z lewej strony rzeki ogromna, rogata, czarna głowa łosia. Ujrzawszy naszą łódź, łoś, który widocznie miał zamiar przepłynąć rzekę i ratować się ucieczką na przeciwnym jej brzegu, zawrócił na miejscu i popłynął przed nami wzdłuż rzeki. Płynie szybko, więc nie zwlekając, biorę go na cel i daję dwa strzały. Jednocześnie Aleksander korzysta z wielką przytomnością z płytkiego miejsca, gdzie się właśnie znajdujemy, opiera wiosło o dno rzeki i wstrzymuje łódź, co ułatwia nieco polowanie. Po tych strzałach widzimy, że zad zwierza opadł w wodzie, ruchy jego stają się powolniejsze, chociaż nie przestaje płynąć. Wydobywam ładunki i znów puszczam dwie kule. W tej chwili jesteśmy już na środku rzeczki, gdzie kołysanie małego czółna ogromnie utrudnia strzelanie, ale zbliżamy się widocznie do naszej ofiary. Łoś jednak zmienia kierunek, przepływa na drugą stronę rzeki, tu usiłuje wyjść na brzeg, lecz sił mu już braknie i znów wolno płynie ku lewemu brzegowi. Ja zaś puszczam kulę za kulą, ale strzały te, z wyjątkiem dwóch pierwszych, były bardzo niepewne, gdyż płynęliśmy wciąż środkiem rzeki, i pośpiech, a zwłaszcza gorączka, która opanowała także Aleksandra, rozkołysały ogromnie łódkę i czyniły do kładny i celny strzał niemożliwym. W dodatku i łoś zanurzony w wodzie, z której tylko głowa i grzbiet wystawały, przedstawiał cel stosunkowo nieznaczny.

Po kilku wystrzałach spostrzegam z przerażeniem, że zabrakło mi już ładunków, ale uspokajam się natychmiast, bo widzę, że ostatnia chwila mojej ofiary nadeszła. Łoś zatrzymał się na lewym brzegu, zachwiał się i w końcu padł na bok do wody. Gdyśmy dopłynęli, był już martwy, leżał na wodzie z wywieszonym językiem.

Pokazało się, że jesteśmy tuż naprzeciwko naszego obozu, co należało do bardzo pomyślnych okoliczności naszego polowania, gdyż pozostawało tylko spławić ubitego łosia na drugą stronę rzeki i mieliśmy go już w obozie; ztąd już w wielkiej łodzi w całości mógł być odwieziony do domu, co też stało się nazajutrz.

Za chwilę uczestnicy polowania zaczęli jeden po drugim ściągać do obozu. Wszyscy byli niezmiernie

zaintrygowani mojemi luźnemi strzałami (a było ich aż 10), nie mogąc wytłómaczyć sobie przyczyny tej kanonady. Trudno było wpaść na myśl, że łoś może być ścigany tylokrotnemi strzałami wpław.

Gdy zabitego łosia wyciągnięto na brzeg, co się odbyło z wielkim wysiłkiem naszej licznej drużyny, gdyż według opinii leśników okaz niezwykle duży, o pięknych, „łopaciastych“ rogach, z których jeden o siedmiu, drugi o ośmiu odnogach, przystąpiliśmy do zbadania skutków naszych strzałów. Pokazało się, że pierwsza kula p. J. trafiła stojącego na sztych łosia w chrapy, między nozdrza i rozwinęła się przedwcześnie, nie doszedłszy do mózgu. Moje zaś pierwsze dwie kule trafiły w zad nad lewą tylną łopatką, dalej jedna, otarłszy się o wierzch głowy, przebiła lewe ucho, jedna przeszyła garb, dwie jeszcze były w zadzie, jedna przeszła na wylot przez brzuch. Przy ściślejszem badaniu, po wypatroszeniu, pokazało się, że moje pierwsze dwie kule przebiły łosia przez całą długość tułowia, przeszyły płuca i rozwinęły się w kształcie grzyba dopiero w klatce piersiowej, gdzie były znalezione. We wnętrznościach zostały okręcone, stalowe powłoki, okrywające do połowy te kule. Te oczywiście kule były śmiertelne i od nich też zwierz poległ. Daje to doskonałe świadectwo sztucerowi Barelli i na tego rodzaju leśnych polowaniach broń to jedyna. Siła penetracyi i celność są nadzwyczajne, brak dymu daje zawsze możność powtórzenia strzału, broń lekka, bo zaledwie ośm funtów wagi, i pomimo to, a dzięki bezdymnemu prochowi, szarpania nie odczuwa się wcale. Kule do tego sztucera są pełne, ze spłaszczoną główką, lub też ekspansywne z miedzianą, cienką rurką (explosionsrohre) w przedniej części. Sądzę, że te pierwsze na grubego zwierza o twardej skórze, są skuteczniejsze. Potwierdza to i wypadek ze sztucerem p. J. (express, cal. 500), którego kula pusta wewnątrz, trafiwszy łosia w chrapy, przeszła nad podniebieniem i rozprysła się w drobne kawałki, krusząc kości, lecz nie dosięgnąwszy mózgu. Pełna kula poszłaby dalej i zapewne dotarłaby do mózgu *).

Tymczasem wieczór nadszedł i zmrok szybko zapadł. W obozie naszym buchnęły płomienie sutego ogniska i dokoła niego rozpoczęła się biesiada. Wnętrzności zabitego łosia, na rozmaite sposoby przyrządzone, stanowiły dla naszych dzielnych towarzyszy posilną i smaczną wieczerzę. Towarzyszyły temu opowiadania myśliwskie, wspomnienia starszych leśników z czasów odległych, a przedewszystkiem każdy z naszego grona komunikował swoje wrażenia z dzisiejszego polowania. A z góry spoglądało na nas ciemne niebo iskrzącemi gwiazdami i dokoła szumiała stara, poleska puszcza, która także wiele rzeczy widziała i wiele pamięta.

Nazajutrz urządziliśmy znów obławę, która, chociaż nie dała nam żadnych trofeów, natomiast zaświadczyła o pięknym zwierzostanie w lasach p. J. W niewielkim ostępie, zajętym przez nagankę, było aż dziewięć łosi (w tej liczbie klępy i łosięta), ale te wszystkie wyszły na obławników. Widocznie nie odważyły się pójść „za wiatrem“, który wiał właśnie w stronę myśliwych. Zwykła to jest zresztą taktyka łosia, który w swym pochodzie unika kierunku za wiatrem, nie mogąc w tym razie oryentować się węchem przed sobą. Było to wprawdzie do przewidzenia, lecz pozycya tego ostępu jest taka, że tylko ten kierunek mógł być zastosowany.

*) Niniejszem opowiadaniem pragnąłbym zwrócić uwagę kolegów myśliwych na wybór broni stosownej i skutecznej na łosie. Dubeltówki o gładkich lufach z ciężkiemi kulami Witzlebena (na drewnianym słupku) są stanowczo nieodpowiednie. Celność tych kul na blizką nawet metę jest niedostateczna, ostrość, przy niewielkim z konieczności naboju prochu, zbyt słaba. Kaleczą one najczęściej szlachetne zwierzę, przyprawiając je o cierpienia, chorobę, a później śmierć, bez żadnego pożytku dla myśliwego. Tania i dobra broń na łosie, oraz na inną grubą zwierzynę, jest to, mojem zdaniem, magazynowy sztucer Winczestera, kal. 500, zwłaszcza ostatnie modele o ładunkach z bezdymnym prochem, chociaż zastąpić dubeltowych sztucerów one nie mogą.

Tego dnia wróciliśmy do domu. Projekty nasze, co do polowań, jako lat poprzednich, na dziki, których jest także sporo w lasach p. J., zwłaszcza na granicy z lasami ks. Radziwiłła, a te znów lasy slynne są na kraj cały z obfitości tej zwierzyny, — spełzły na niczem. Zaniechać również musieliśmy znakomitych polowań na kaczki na rozlewach Prypeci — należało dla różnych powodów wracać na południe, gdzie nas znów oczekiwały jesienne przeloty gęsi i słonek.

J. B.

WYPRAWA MYŚLIWSKA
do Mongolii.

(*Ciąg dalszy*).

U Mongołów pod tym względem panują zupełnie swobodne obyczaje, i dziewczyna, której jaki chłopak podobał się, ani chwili się nie zawaha okazać mu to w jakikolwiek sposób, i im dziewczyna ma więcej kochanków, tem bardziej jest honorowaną i tem prędzej za mąż wychodzi. Tymczasem herbata ugotowana, albo raczej to, co tu herbatą nazywają, bo jest to mieszanina wszelkich ingredyencyj: trochę cegiełkowej herbaty, dużo mleka, trochę krwi, niedużo mąki i parę łyżek tłuszczu baraniego, albo topionego masła, wszystko to zalane wodą i zlekka podgrzane stanowi przysmak i honorowe przyjęcie dla gościa. Takie specyały trzeba było pić z drewnianych miseczek, z których i Mongołowie pili. Feliks krzywił się strasznie, miłosiernie spoglądając na mnie, gdy ku wielkiemu naszemu zdziwieniu, Cybekdżabka wydobył z pokrowców dwie porcelanowe, ładnej, chińskiej roboty, filiżanki, spłukał je, starannie wytarł połą własnego, zatabaczonego chałatu i nalawszy ze wspaniałego cyzelowanego, miedzianego dzbana owej „herbaty“, podał nam ją, zapraszając do picia z uprzejmym uśmiechem. *A la guerre, comme à la guerre*—nie było rady, musieliśmy wypić ten specyał, żeby nie obrazić gospodarza, a chodziło nam bardzo o niego, bo on jeden mógł nam przewodników dostarczyć. Z rozmowy z tłómaczem okazało się, że myśliwych niema w domu i jutro dopiero wrócą; trzeba więc na nich czekać. Późno już w nocy odjechaliśmy z wiorstę do pobliskiego lasku i rozłożyliśmy się taborem.

Na drugi dzień, koło południa, wrócili myśliwi i zięć Cybekdżabki, Heydar prowadzi nas na nocleg o kilkanaście wiorst, by zrana tam zapolować. Sympatyczny Mongoł i wcale nieźle rozumiemy się, wymachując rękoma, jak waryaci. Jedziemy drogą iście mongolską! Żadne w świecie konie, z wyjątkiem może kaukazkich, po tych wyrwach, kamieniach, urwiskach i przepaściach przejśćby nie zdołały! Nieraz uczucie chłodu po kościach przebiega i często, zamknąwszy oczy, trzyma się za łęk siodła, koniowi i Opatrzności opiekę nad sobą polecając. Nocleg strasznie podły, bo równego miejsca nawet dla nas znaleźć nie mogliśmy, we śnie wytaczaliśmy się z namiotu po pochyłości, a deszcz padał bez przerwy.

Rano trochę się wypogadza, idziemy, już późno i oprócz zupełnie świeżych śladów nic nie widzimy. Kiryło strzelał do „kabargi“, ale spudłował. Szkoda, bo nigdy tej kozy nie widziałem. Zjawia się nareszcie nasz dalszy przewodnik, Sarażdżodż, ale z nim razem i kapuśniaczek, który nas całą drogę moczy. Nowy nasz myśliwy coś nie bardzo budzi we mnie zaufanie, ale kto wie, może będzie możliwy. Przejeżdżamy dwa razy wbród Iro i roztasowujemy się na noc. Ledwieśmy zdążyli namiot postawić, wybuchła straszna bu-

rza z szalonym deszczem. Całą noc grzmoty i pioruny, jakby niebo całe rozpaść się miało.

Z losu wypada mi na ranek Mongoł, który pierwotną moją o nim opinię w zupełności usprawiedliwił. Cały czas ciągał mię po zwartym lesie, i ani razu nie wyszliśmy na uwały; oprócz sarn, nic nie widzimy, a miejsce już widocznie opolowane. Feliks pojechał za rzekę i zdaleka widział niedźwiedzia. Za powrotem zdarzył im się mały kazus, musieli przez rzekę wpław się przeprawiać. Z tą rzeką wogóle bieda: do południa przybrała przeszło półtora metra i wzięła nas w blokadę, bo z rzeczami nie sposób wpław się przeprawiać. Po południu oni się znowu rozeszli, a ja w braku miejsc odpowiednich wolałem obserwować dwa, walczące z sobą mrowiska. Nic nie widzieli, tylko Iwan zdaleka asystował zabiciu niedźwiedzia przez obcych myśliwych i strzelał niefortunnie do kozła. Deszcz ze śniegiem padał ponownie, wody jeszcze przybyło, o przejeździe, ani polowaniu mowy być nie może, mięsa nie mamy ani krzty, i głód grozi. Rozeszli się, Iwan z Feliksem na szczęście w różne strony, ja zostałem w obozie i fatalnie na tem wyszedłem. Iwan widział dwa niedźwiedzie na uwale, a na trzeciego natknął się o kroków dwadzieścia i strzelił do niego. Niedźwiedź upadł, zwlekł się w gąszcz, a że już zmierzchało, więc Iwan wrócił do obozu, przysięgając na wszystkie świętości, że niedźwiedź musi leżeć.

W nocy znów spadła szalona ulewa i rano, oprócz szalonego zmęczenia, bo po takich górach, jak teraz, tom jeszcze nie chodził, nic nie zdobyliśmy.

Tak nam wreszcie nasze przymusowe zamknięcie przez rzekę dokuczyło, że postanowiliśmy nazajutrz *coute que coute* jechać. Zostawiamy wszystkie rzeczy z przewdonikami, a sami prawie że wpław, tylko ze strzelbami i chlebem, na drugą stronę się przeprawiamy. Nic do rzeczy przyjemniejszych należała ta kąpiel, ale, dzięki Bogu, wydostaliśmy się z klatki. Od tego nieszczęsnego siedzenia zaczęło nam się wszystko nie udawać. Ciągłe deszcze i śniegi przeszkadzały nam w polowaniu. Trawa o tyle podrosła, że zwierz nie wychodził już z gąszczów i nie sposób było na odkrytem zastać miejscu. Powłóczyliśmy się więc jeszcze po górach, dojechaliśmy do źródeł rzeki Iro i straciwszy na próżno koło dwóch tygodni czasu, zawróciliśmy z powrotem do domu.

C. W.

(*Dok. nast.*).



PRZYCZYNEK DO ARTYKUŁÓW
p. t.
„Tępienie wilków".

Wszystkie przepisy i „recepty" myśliwskie, posiadają jedną wspólną cechę niedokładności, skąd pochodzi, że stosowanie ich w praktyce nigdy nie daje spodziewanych rezultatów. Zarzucą mi może czytelnicy chęć krytykowania tych wszystkich artykułów, jakie, na wieść o pojawieniu się u nas wilków, wydrukowano w fachowych i niefachowych pismach. Posłuchajcie jednak i osądźcie sami.

Przed laty mieszkałem w okolicy Podola, gdzie rok rocznie wylęgało się gniazdo lub dwa gniazda wilków, i gdzie spotkanie kilku lisów w ciągu wieczora nie należało do rzadkości. Zgromadziłem całą bibliotekę dzieł łowieckich, spisałem całe zeszyty najprzeróżniejszych przepisów i recept, aby je wprowadzić w wykonanie, bardzo prędko jednak przekonałem się, że nie wystarcza samo drukowane słowo, że dla powodzenia tej lub owej wyprawy nieodzowne jest poznanie życia i natury zwierza, którego prześladujemy, że jednem słowem, trzeba wiedzieć coś więcej, ponad te wszystkie przepisy i wskazówki, a przedewszystkiem trzeba być samemu myśliwym w całem tego słowa znaczeniu, to jest, posiadać wiele sprytu, wytrwałości, znajomości życia i natury zwierza, posiadać zimną krew, pewną rękę i celne oko, a przytem wszystkiem dobre nogi i zdrowe płuca. Niejeden z was, czytelnicy, uśmiechnie się z przekąsem i pomyśli, że stary jakiś maruda zacznie piorunować i na nowoczesną broń, oddając pierwszeństwo pistonówkom i tradycyjnej torbie borsuczej,— wywiodę was jednak z błędu i upewniam, że należę do młodej braci z drużyny ś-go Huberta, a krytyka owych recept, przeważnie lisich witerunków i trucia wilków, wypływa z następujących przyczyn i powodów:

Każdy, tak zwany wilczarz i lisiarz, jest to niezmiernie skryte i zazdrosne *homo* i za nic nie zdradzi swej tajemnicy, zapewne przez prostą zawiść myśliwską, jakby z obawy, aby ktoś drugi nie zgarnął do swej torby tych futer, które swoją wyłączną mniema być własnością. Jeżeli okoliczności zniewolą go do wyjawienia swej sztuki komukolwiek, czyni to zawsze tak przezornie, nie domawiając z rozmysłem rzeczy na pozór błahych, niemniej przeto ważnych, a rozgadując się o ostrożnościach, niemających wpływu na powodzenie sprawy, albo słuchacza swego nie naucza tym sposobem niczego, albo też plotąc mu rzeczy takie, jak n. p. wyszukiwanie do przyrządzenia odwiatru na lisy takiej kuchni, na której niby się dotąd nie gotowało, albo go zniechęca zupełnie, albo też więcej spostrzegawczego sprowadza na drogę podejrzeń i nieufności i niejako wskazuje mu przez to pominięcie koniecznych ostrożności, które stanowią o powodzeniu wyprawy.

W takich warunkach nie można przypuszczać, aby wszystkie przepisy i recepty wilczo-lisie dostały nam się w prostej drodze od tych specyalistów, ale dostają się do nas drogą pośrednią, przez uczestników lub widzów tylko, czy to przygotowań do wyprawy, czy to jej samej, ztąd też nie mogą być dokładnemi, o czem przekonało mnie własne doświadczenie, a dowodniej jeszcze przekonywają pisane na ten temat artykuły, zaczynając od pism codziennych, a kończąc na specyalnych, gdzie nie brak może intencyi, czasem dobrej wskazówki, brak jednak całości.

Chwytam oto za pióro bez zarozumiałości, bo i ja zapewne posiadam pewne braki, które tu się ujawnią, jednak ponieważ nie jesteśmy uniwersalnymi, przystępuję do rzeczy w tem przekonaniu, że osiągnięte przezemnie rezultaty polowań na wilki bez specyalnych przyrządów i przygotowań, jak wiorstowe sieci i na setki liczące się obławy, upoważniają mnie do podzielenia się z czytelnikami „Łowca Polskiego" wiadomościami, z praktyki mej zaczerpniętemi.

Tępienie wilków podzielę na pięć sposobów, a mianowicie: 1) obława po czarnej stopie, 2) obława po śniegu, 3) trucie padliną, 4) Polowanie na przynętę i 5) łapanie w doły. O polowaniu z prosięciem, jako o sporcie, stosowanym tylko na tak zwane stepowe wilki, i to w czasie silnych mrozów, pomówię na dokończenie oddzielnie.

1) Obława po czarnej stopie.

Ten rodzaj polowania praktykuje się niemal wyłącznie na tak zwane wilki gniazdowe, to jest wilki, które się w danej miejscowości wylęgły, czyli wywiodły, słusznem przeto jest, abyśmy się zapoznali cokolwiek z ich sposobem życia. Wadera obiera sobie na miejsce lęgu zazwyczaj na wyniosłości położony gąszcz w pobliżu jakiejkolwiek wody, którą młode rano i wieczorem gaszą wiecznie trapiące je po mięsnych ucztach pragnienie. Ponieważ oboje zacni rodzice są dostawcami żywności dla młodych, pozostających zazwyczaj na opiece starszej swej siostry z zeszłorocznego lęgu, której niebo nie obdarzyło własnem potomstwem, przeto ewentualność tę wyzyskuje my-

śliwy na swą wyłączną korzyść i uciechę, jak to później powiedziane będzie.

Ostrożność nakazuje starym zapuszczać się za łupem w dalekie strony, tak, że mając wilki o pół wiorsty od gajówki, nic słyszałem nigdy o jakiejkolwiek szkodzie w promieniu dwumilowym, tak długo, dokąd młode nie zaczęły pomagać w łupieży rodzicom, co zaczyna mieć miejsce mniej więcej po 20-ym sierpnia i wtedy już całe gniazdo rozpoczyna wędrówki nieraz bardzo dalekie, dlatego też obława na gniazdowe odbyć się musi przed 20-ym sierpnia.

Gdy tylko straż leśna spostrzeże ślady starych i młodych u wody, co nie jest trudne przy jakiej takiej wprawie, a zwłaszcza na błotnistych brzegach, wysychających w czasie upałów sadzawek lub strumieni, zarządzić należy, tak zwane „wysłuchy", aby dokładnie określić, w której knici wilki zalegają, i tę część lasu, aż do dnia obławy, pozostawić trzeba w bezwzględnym spokoju.

K. Satkowski

(*C. d. n.*)

TAŁYSZ.

(*Ciąg dalszy*).

Oparłem się mocniej na nogach, pomacałem wiszący u pasa kindżał, ścisnąłem mocniej Mauzera w rękach. Przykrego doznałem uczucia, gdy zbliżający się tatarzy, oznajmili nam, że tygrys przeszedł wąwóz i ukrył się w sąsiedniem uroczysku. Puszczamy się spiesznie w pogoń za zwierzem, drapiemy po stromej górze, przechodzimy jej szczyt, opuszczamy się w dolinę i stajemy w zwykłym porządku, ja na lewem, p. W. na prawem skrzydle, a sędzia K. środek zajmuje. Ale kapryśna „madame" Dyana i tym razem odwróciła nadobne swe oblicze od nas, tygrys zdążył przejść tędy, zanim przebiegliśmy mu drogę i udał się w wyższe regiony. Nie było co robić, słońce dawno opuściło się za góry, a od Pryszybu dzieliło nas 30 wiorst najokropniejszej drogi. Przechodzimy u podnóża Dombałowego szczytu auł Szachlar, gdzie pan W. pokazuje nam miejsce zdobyczy pierwszego jego tygrysa, a tatar z naszego otoczenia, Mosture Ivreli Ogły, opowiada nam szczegóły zabicia w grudniu r. z. w rewirze Drińlińskim ostatniej tygrysicy, która jego bratu srogą zadała ranę w głowę i plecy. Tu też złowiono młodego tygrysa, sprzedanego później do petersburskiego cyrku. Dowiadujemy się trochę szczegółów o naszych tatarach. Wielu z nich, dziś udających myśliwych, z nadejściem wiosny opuszcza swe auły i udaje się w celach kontrabandy, grabieży i rozbojów w góry; kilku nawet było podejrzanych o zabójstwa i mordy. Już pierwszy kur zapiał, gdyśmy spragnieni, omokli, upadli na siłach i duchu, zbliżali się do aułu.

6 stycznia. Dziś jeszcze wcześniej rozpoczęliśmy marsz i już około godziny dziewiątej stanęliśmy na wczorajszych tropach. Teraz pochód nie męczy mnie tak, nie czuję upadku sił, nie wydaje mi się błoto tak grzązkiem, woda w strumykach tak wysoką, ani tak zimną, nawet kolce „derżydrzewa" nie tak haczykowate i ich dotknięcie nie tyle bolesne; pcha mnie jakaś siła, pali żądza spotkania się z groźnym królem tej puszczy. Po godzinie marszu przez góry docieramy do dużej rzeki, wchodzimy w jej płytkie wody i raźno posuwamy się po jej kamienistem dnie, co raz wyżej. Wszędzie tu mnóstwo śladów różnego zwierza krzyżuje się, a miejscami natrafiamy na prawidłowe wodopoje kóz lub świń; słonki i bażanty rwą się co chwila z pod nóg. Jakaż to wspaniała puszcza, oczu oderwać nie mogę od tego pięknego krajobrazu. Natura tu przedstawia się w całej pełni taką, jaką ją Bóg stworzył, nieskażoną dotąd niszczycielską ręką człowieka. Omurszałe, wiekowe dęby, wyciągające swe rozłożyste ramiona, splotły się w bratnim uścisku z sękatym azatem, tworząc wspaniałe grupy; stoją dumnie i jakby urągające, kornie chylącym się przed ich ogromem wiotkim latoroślom smukłych jesionów i grabów, a splątane winem, zwite zielonym bluszczem krzewiny i zarośla, żółtym mchem porosłe kłody, tworząc sklepienie nad łożyskiem rzeki, dodają swą dzikością dziwnego uroku tej miejscowości. Rzeka, im wyżej, tem staje się niedostępniejszą, odłamy skał i drzewa coraz więcej ją barykadują. Wychodzimy z jej koryta i podnosimy się na wysoką górę, zostawiamy ją za sobą i zajmujemy miejsce w również pięknej, lecz jeszcze dzikszej dolinie. Lecz i dziś spotyka nas srogi zawód, niczem nie powetowany, bo tygrys minął perską granicę i skrył się tym razem na zawsze, w jej dzikich puszczach. Duch i siły opadły w nas całkowicie, owładnęło zniechęcenie i rozczarowanie. Mauzer wydał mi się pudowym ciężarem, a nogi ołowianemi, a gdy niezmordowany gospodarz wyciągnął nas w jedną długą linię, oparł jej jeden koniec o wąwóz, drugi o szczyt góry i zakomenderował odwrót, ledwieśmy ciągnęli nogi za sobą i żółwiem posuwali się krokiem. Linia, czy to wskutek nadmiernego zmęczenia, czy dla nierówności terenu, często się łamała, wijąc się, jak olbrzymi wąż, to zbytnio ściągając się do środka, to znów wydymając, to luzując po skrzydłach. Ale sprawni Tałysze, do podobnych pochodów wzwyczajeni, każdą omyłkę szybko naprawiali. Już pierwsze wyniosłości pozostały nam daleko w tyłach, gdy ku środkowi kilka głosów zabełkotało raźnie i tatarzy ostrzegli nas o świeżych śladach jakiegoś dużego rabusia. Wiadomość ta obudziła w nas energię i ożywiła upadłe siły i ducha; ruszyliśmy raźniej naprzód, przepatrując każdy krzew uważniej, każdy zakręt rewidując ściślej. Każdy pojmował ważność chwili, przeczuwał niebezpieczeństwo. Zapewne na zlecenie p. W. ku mnie i sędziemu przysunęło się po dwóch strzelców i na krok nie odstępowali nas odtąd. Po godzinie naprężonego tego marszu na lewem skrzydle zagrzmiało kilka głosów tryumfu, czy przerażenia, padł najprzód wystrzał berdanki, basowym dubletem zawtórował Mauzer p. W. Każdy, co tchu starczyło, biegł na miejsce walki, na widok leżącej, krwawą pianą jeszcze buchającej, pięknej, cętkowanej pantery, pięćdziesiąt vivatów zahuczało w dolinie na cześć gospodarza. Moja radość przechodziła wszelkie granice. Ofiarowana mi przez uprzejmego gospodarza pantera mierzy 3 arsz. i 12 wierszków długości, z czego sam ogon półtora arszyna liczy. Pantera ta bowiem zwana *Felis irbis*, według słów p. W. jest jednem z najniebezpieczniejszych zwierząt tej okolicy i polowanie na nią traktuje p. W. o wiele poważniej, niż na tygrysa. Ustępująca co do siły budowy i ogromu innym wielkim kotom południa, przewyższa wszystkie inne odwagą, zręcznością, chciwością i okrucieństwem. Nie posiada zupełnie właściwego innym zwierzętom respektu dla człowieka, jaki, choć chwilowo przy zetknięciu się z myśliwym okazuje tygrys lub lew, pantera gotowa zawsze mordować wszystkich i wszystko, na swej drodze spotkane, rzuca się z równą wściekłością na bydlę, na pojedyńczego przechodnia, lub na całe gromady myśliwych, a zakosztowawszy raz ludzkiego mięsa, staje się ogromną plagą danej okolicy, czyha na swą ofiarę z wysokości drzewa, podpełza do obozów podróżnych, napada dzieci w aułach. W 1901 r. p. W. polując w uroczysku Bablu w Sejfidorskim rewirze pod Lenkoranią, zabił barsa, który rzucił się na gromadę polujących z p. W. tatarów, zagryzł na śmierć z aułu Tangewan Agę Babe Kurban Ali Ogły, a bratu jego, Chanbabie, zadał straszne rany w głowę i plecy, zaś Chanverdi z Wesi pokaleczył ręce.

Wł. Czerniejewski.

(*C. d. n.*).

TYDZIEŃ POLOWANIA NA NIEDŹWIEDZIE
w nowogrodzkiej guberni.

Myśliwy zawsze z przyjemnością przypomina sobie te chwile, kiedy pierwsze stawiał kroki ze strzelbeczką na plecach, uganiając się czy to za szarakiem, tchórzliwie pierzchającym przed psami gończemi, czy to nawet często skradając się tylko do wrony lub jastrzębia.

Mile to były czasy, gdy się wakacye tak wesoło w lesie lub na bagnie spędzało! Jako opiekuna i profesora, podczas tych licznych wypraw, przydanego miałem sobie starego nadlowczego, Popławskiego. Typ to był wprawnego i skończonego myśliwego, jakiego teraz rzadko u nas spotkać można, gdyż takiej zwierzyny i takiej jej ilości, knieje nasze już nie posiadają. Za pradziada był łowczym i wszystkiemi polowaniami on tylko kierował; znał więc i knieję na wylot, jak nikt, wiedząc, kędy najlepszy przesmyk zwierza, gdzie toki najobfitsze głuszców i cietrzewi, gdzie wreszcie na słonki stanąć trzeba; strzelał przytem wybornie. Takiego miałem profesora; a srożył się i przeklinał, gdym młodzieńczym zapałem uniesiony, zwierza przepłoszył lub do jakiego dubelta spudłował, co się często zdarzało.

Najmilsze były czasem chwile wypoczynków. Gdzieś na bagnie zasiadało się, czy to na większej kępinie, czy też w jakiej, samotnie stojącej, pochyłej ze starości, chłopskiej odryńce i wtedy, po wódeczce i wędlinie, zaczynał stary opowiadać o dawnych, lepszych czasach.

Najwięcej lubił rozpowiadać o niedźwiedziach, których moc wielka naówczas była, zimą więc częste na nie urządzane były łowy, a królewskie to łowy być musiały na tak wspaniałego zwierza. Stary dużo ich w życiu zabił znakomitą swoją lebiedówką, podarowaną mu przez mego pradziadka; podobno miał ich z ośmdziesiąt na sumieniu, więc ileż to polowań, o iluż tu wydarzeniach ciekawych się nasłuchałem.

I lata po mału mijały. Stary towarzysz już dawno w grobie spoczął na leśnym cmentarzu pod szumiącemi, białoruskiemi sosnami, a mnie się jeszcze nigdy nie natrafiła sposobność zapolowania na niedźwiedzia. I oto nareszcie nadarzyła się tak upragniona okazya, dzięki łaskawie udzielonym mi wiadomościom i wskazówkom przez pana Lesieckiego, rządowego leśniczego Tichwińskiego okręgu nowogrodzkiej guberni.

Wyjechałem z domu z moim strzelcem, Bolesławem, 25-go stycznia r. b., jadąc przez Petersburg do Czudowa, stacyi kolei mikołajewskiej, skąd 125 wiorst końmi pozostawało jeszcze do Tichwina. Z broni miałem ulubionego, starego Piepera cal. 450 pół ekspres z kulami ekspanzywnemi i Mauzera z kulami „Halbmantel". W Czudowie stanęliśmy we wtorek po południu i nie tracąc czasu, niezwłocznie wsiedliśmy na czekające, pocztowe sanie, zaprzężone w dzielną trójkę miejscowych, małych rysaków. Rzeczy jako tako się poprzywiązywało i ruszyliśmy ostrego kłusa.

Na pierwszego niedźwiedzia polować miałem w okolicach wsi Rugujc o 85 wiorst od stacyi kolei, na trakcie tichwińskim. Jak na tamte strony, odległość to bardzo nieznaczna, zwłaszcza zimą, gdy sanna dobra, a konie miejscowe znakomite.

Stacye pocztowe rozstawione są gęsto i rzadko kiedy etap wynosi więcej, niż 20 wiorst; nie dziw więc, że zachęcony dobrem na „czaj" woźnica pędzi, jak wicher, i często, większy nawet etap, w godzinę przeleci. Ruszyliśmy więc ostro z miejsca i ku wielkiemu naszemu zadowoleniu, dowiedziałem się, iż droga wyborna; z poprzednich bowiem wiadomości wiedziałem, że i tam tegoroczna zima, jak i u nas, lekka, a śnieg kilka razy znikał.

Sanie duże i wygodne, sunęły gładko po wyślizganej drodze, temperatura przytem całkiem łagodna, przyjemna i zupełny brak wiatru, uspasabiały nas dobrze, dając nadzieję pomyślnego rezultatu wyprawy.

Pierwszy raz będąc w głębi Rosyi, ciekawie rozglądałem się dokoła, podziwiając ładne, duże wsie, przez które przejeżdżaliśmy, o dobrze budowanych, wysokoparterowych, nawet i piętrowych często chatach z firankami gdzieniegdzie w oknach i odznaczających się, po naszych biednych włościańskich szopach, dziwną stosunkowo czystością i porządkiem. Przekonałem się o tem dokładniej, w głębi kraju, gdy kilkakrotnie zmuszony byłem w takich mieszkaniach wypoczywać lub nocować.

Bliżej Czudowa lasów mało. Gdzieniegdzie tylko obszary, porośnięte rzadkiemi, niskiemi krzakami; latem widocznie pastwiska włościańskie.

Uderza mnie brak folwarków i wogóle większych gospodarstw, ale tu obywatele głównie lasy posiadają, mocno przytem wyniszczone; grunta zaś liche, między włościan rozparcelowane. Dopiero po trzeciej stacyi pocztowej, o czterdzieści kilka wiorst od kolei, poczynają się lasy i idą już dalej, bez większych przerw, aż do samego Tichwina.

Po drodze przejeżdżam obok dwóch wielkich fabryk zapałek, które ogromny dają zarobek ludności miejscowej, pochopniejszej do takiej pracy, niż do uprawy bardzo niewdzięcznej roli. Wogóle chłop tamtejszy mało się rolą zajmuje, idąc głównie na zarobki, gospodarstwo pozostawiając kobietom.

Do trzeciej stacyi pocztowej jedzie się znakomitą i piękną szosą, potem już dalej ciągnie się trakt, czyli gościniec, dobry, wijący się już bez przerwy lasami. Lasy to marne, zniszczone, porost ich, co prawda, piękny, sztuki jednak cienkie i podczas całego mojego pobytu, pięknego drzewostanu nie widziałem. Od czasu do czasu bagna wielkie, porośnięte łozą i brzeziną, prawdopodobnie łosi stolica, potem znów las lub krzaki. Dowiaduję się, iż łosi tu dużo, lecz głównie knieje te obfitują w ptactwo. Bardzo dużo tu pardw, głuszców i cietrzewi; wilków i rysi stosunkowo mało.

B. I. T.

(C. d. n.).



POLOWANIE NA TYGRYSA
w Turkiestanie.*)

W d. 6 listopada 1899 roku myśliwi-wywiadowcy 1-ej roty 19-go turkiestańskiego liniowego batalionu, oraz tak zwana myśliwska komenda — wyruszyli na polowanie w górę rzeki Amu-Daryi. Celem tej wyprawy było zdobycie jelenia na święto batalionowe, które przypada 8-go listopada. Oba oddziały wyruszyły o godzinie 6-ej rano. Do miejsca polowania było zaledwie 10 wiorst, lecz ponieważ należało *kajuki***) ciągnąć w górę rzeki na linach, przybyły one na punkt zborny dopiero o godzinie 11-ej przed południem. Na tę porę nadciągnęli też konno uczestnicy polowania: dowódca pogranicznej straży, pułkownik Kostewicz ze swymi oficerami: sztabs-kapitanem Charczewem i Zjakinem, oraz dowódca kozaków orenburskich, esauł Afanasjew z podchorążym Orłowem. Wzięto z sobą psy, należące do batalionu, a także pięć sfor gończych kapitana Murawjewa.

Rozbiwszy obóz, zanim przystąpiono do polowania, zajęto się zbadaniem terenu, gdyż myśliwi 19-go

*) Polowanie to jest dla nas tem bardziej interesującem, że brały w niem udział psy gończe rasy polskiej. (*Tłómacz*).

**) *Kajukiem* w miejscowem narzeczu nazywa się łódka.

batalionu nie obeznani byli z okolicami Termezu, jako świeżo przybyli z miasta Kierki. Okazało się, że można było zrobić na wyspie 4 zakłady; znaleziono też tropy jeleni i tygrysa.

O godzinie 2-ej rozpoczęto pierwsze pędzenie. Na myśliwych wyszła łania, którą też trupem położono. W drugim zakładzie z „tugaju“*) wytknęły trzy jelenie, przez psy ruszone, lecz rzuciły się do rzeki i przepłynęły na drugą stronę. I w trzeciem pędzeniu ruszono kilka jeleni, lecz bez rezultatu. Ponieważ zaczęło się szybko ściemniać, więc odłożono wtedy wzięcie czwartego miotu do następnego ranka, poczem należało wrócić do domu. W nocy jednak zaczął padać deszcz i padał aż do samego rana, a chociaż potem przestał, to jednak niebo pozostało zaciągnięte gęstemi chmurami. Trzciny były namokłe, więc też postanowiono wracać do domu.

Gdy już dobrze rozedniało, wszyscy oficerowie i myśliwski oddział wyruszyli w drogę, a na miejscu pozostało tylko 9-ciu strzelców 1-ej roty, aby psy nakarmić. Mieli oni rozkaz wracać do domu, gdy tylko psy podjedzą.

Zaledwie oficerowie przybyli do Termezu, a kapitan Murawjew, przebrawszy się, zabierał się do picia herbaty, gdy przypadł cwałem strzelec 1-ej roty, gefrejter Babij z wiadomością, że pozostali żołnierze ranili tygrysa, że tygrys pokaleczył jednego strzelca i trzy psy, że myśliwi otoczyli tygrysa i oczekują przyjazdu kapitana Murawjewa. Wiadomość była niespodziewana, a wypytywać się o szczegóły nie było czasu. Kapitan Murawjew, rozkazawszy osiodłać konia, poszedł do swego dowódcy zaraportować o całym tym wypadku, a także zawiadomił pułkownika Kostewicza, jako starego i doświadczonego myśliwego na tygrysy. Pułkownik, który też ledwie zdążył się przebrać i pił herbatę, usłyszawszy opowiadanie, nie dał się długo prosić i mimo zmęczenia zdecydował się jechać tam, gdzie potrzeba było obecności doświadczonego myśliwca. Szybko wydał rozkazy: „Konia i sztucer“, a w chwilę potem obaj z kapitanem Murawjewem, wziąwszy z sobą bandaże, popędzili na wskazane miejsce w towarzystwie Babija i dżygita z pogranicznego posterunku, Tatarowa.

W godzinę byli na miejscu. Przyjechawszy na wyspę, zajęli się przedewszystkiem ranionymi. Jak się okazało, ucierpiał szeregowiec Pigna, który miał pogryzione lewe ramię. Rany przemyto i obandażowano, poczem opatrzono ranione psy. Jeden z nich miał całą skórę wraz z mięsem zdartą na lewej nodze od łopatki do stopki; dwa inne leżały bez ruchu z przegryzionemi krzyżami i piersiami.

Podoficer Nowikow zaraportował, że po wyjeździe oficerów i komendy myśliwskiej, żołnierze porozlewali jedzenie dla psów w koryta, aby prędzej ostygło, sami zaś zajęli się spakowaniem namiotu i innych rzeczy w kajuku, Nie wiedzieli nawet, kiedy stara i nieprzywiązana gończa suka „Wisła“, niepostrzeżenie wyniosła się w trzciny, zkąd wkrótce doleciało jej szczekanie. Inne psy usłyszawszy to, zaczęły się szarpać, a niektóre z nich zerwały się z uwięzi i popędziły w trzciny. Zaczęto trąbić na rożku, aby psy zwołać, ale to nie pomogło; przeciwnie szczekanie ich stawało się coraz to zajadlejsze. Ponieważ dochodziło ono ciągle z jednego miejsca, więc żołnierze przypuszczali, że psy stanowią dzika. Nawet im przez głowę nie przeszło, aby to mógł być tygrys, gdyż psy ani razu jeszcze nie były na polowaniu na tygrysa, więc trudno było przypuszczać, aby się mogły brać do niego. Gdy nareszcie doszło kilkakrotnie skomlenie psów, widocznie ranionych, żołnierze bojąc się, aby dzik nie pokaleczył wszystkich, rzucili się w trzciny. Babij był konno i pierwszy dopadł do miejsca walki, a usłyszawszy ryk tygrysa, krzyknął do podbiegających żołnierzy, Wołokityna i Pigny, aby nie szli dalej, gdyż tam jest tygrys. Pierwszy z nich usłyszał to wołanie i zatrzymał się przy Babiju; Pigna zaś nie dosłyszał na swoje nieszczęście i pragnąc zabić dzika, pobiegł do psów, gdy tutaj spotkał się oko w oko ze strasznym zwierzem ledwie o trzy kroki od niego.

Otoczony psami, tygrys patrzył na swego przeciwnika, szczerząc zęby. Pigna szybko zmierzył się z Berdana i strzelił mu w paszczę, lecz nie zdążył już wsunąć drugiego ładunku, gdyż zwierz rzucił się na niego, chwycił zębami za lewe ramię i powalił na ziemię; psy rzuciły się na tygrysa, który okaleczywszy kilka, uszedł w gąszcz trzcinowy. Przybyli na wystrzał żołnierze, podnieśli ranionego towarzysza i na koniu zawieźli go do obozu, dokąd też zabrali i trzy psy ranione.

Nowikow nie zdecydwał się polować dalej na tygrysa bez dowódcy kompanii i dlatego częścią swych żołnierzy otoczył zwierza; psy łatwo zwołał z trzciny, gdyż wszystkie trzy ranione psy były to prowodyrowie zlai; następnie zaś wysłał Babja z wiadomością do kapitana Murawjewa.

Nie można było czasu tracić i należało jaknajprędzej ruszać na zwierza. Ponieważ obóz był w górę od wyspy, więc ułożono wszystkie rzeczy do kajuka, ulokowano w nim ranionego Pignę i psy, poczem kajuk spuszczono do wyspy i tu go przywiązano. Wyspa ta, zarośnięta trzciną, miała około wiorsty długości, a szerokości ze 150 kroków w miejscu, gdzie była łódź przywiązana; poniżej zaś — około wiorsty. W tym to końcu wyspa zarośnięta była gęstą trzciną, w której, według wskazówek żołnierzy, zaległ tygrys.

Oprócz pułkownika Kostewicza, kapitana Murawjewa i dżygita Tatarowa, znajdowało się jeszcze 7-iu żołnierzy, razem więc cała wyprawa liczyła 10-ciu ludzi. Jeden tylko podoficer Nowikow miał bagnet na swym karabinie. Wszystkie ocalałe psy były młode, więc, żeby zlaja szła zgodnie, trzeba było wziąć choć jednego z ranionych, i wybór padł na „Wisłę“*), która najmniej ucierpiała. Obandażowano jej nogę i biedna staruszka posztykutała się znów za myśliwymi na niebezpieczną wyprawę. Według wskazówek pułkownika Kostewicza, który już nieraz polował na tygrysy w Ussuryjskim kraju, wszyscy myśliwi zgrupowali się i ławą poszli w trzciny. Spuszczono psy, lecz te przebiegły prawie całą wyspę i nic nie znalazły. Dopiero na samym końcu, w gęstej trzcinie ruszyły zwierza.

Z początku pułkownik Kostewicz i kapitan Murawjew jechali konno, tu jednak musieli zsiąść ze swych wierzchowców. Tygrys zaczął opisywać koła w gąszczu trzcinowym; w miejscach, gdzie się zatrzymywał, widać było farbę — musiał więc być ranny. Myśliwi następowali mu na pięty, idąc za śladem psów. Wyszedłszy z gęstych zarośli, zwierz skierował się w dół wyspy i doszedł aż do samej łodzi. Myśliwi zbliżali się w przekonaniu, że tygrys wyjdzie na otwartą wydmę, lecz on skręcił i ruszył znów ku gąszczom. Ludzie rzucili się na przełaj, aby mu drogę przeciąć, lecz nie zdążyli w porę. Kapitan Murawjew konno i podoficer Nowikow puścili się za nim, lecz tygrys zdążył dotrzeć do gąszczu, gdzie się zatrzymał, otoczony rozjuszonemi psami. Tymczasem zbliżyli się pozostali myśliwi i wszyscy razem weszli do trzcinowego gąszczu. Wieczór zbliżał się. Tygrys znów wyszedł z zarośli i skierował się w dół wyspy, lecz kapitan Murawjew konno w porę zagrodził mu drogę i zmusił go do ukrycia się w trzcinie. Nie miał już ztąd ucieczki. Psy literalnie siedziały na nim; myśliwi podeszli do tego miejsca, a Nowikow zaczął bagnetem rozgarniać trzcinę; ledwie jednak zdążył cofnąć się do swych towarzyszów, gdy tygrys stanąwszy dę-

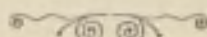
*) *Tugajem* nazywają się miejsca, gęsto porośnięte trzciną i kolączemi drzewami *Dsida*.

*) Jest to ta sama „Wisła“, która w 1896 roku poprowadziła myśliwych 19-go batalionu za tygrysem. Tygrys był zabity, ale przedtem ranił szeregowca Miedwiedia, który zmarł wskutek ran.

ba, rzucił się na myśliwych z szeroko rozpostartemi łapami, jakby ich wszystkich naraz chciał objąć w swym uścisku. Zagrzmiały strzały, jak jeden, i zwierz runął na lewo, przygniatając sobą Babija, któremu skaleczył lewą stronę twarzy i lewe ramię, a jednocześnie zadrapał mocno brew szeregowcowi Szajbinowi, a szeregowcowi Wołokitynowi rozdarł ramię i zgruchotał karabin. W chwili, kiedy zwierz rzucał się na myśliwych, na zadzie wisiał mu gończy „Zaliwaj", któremu tygrys zmiażdżył głowę.

Był to wspaniały egzemplarz, mierzący $4^1/_2$ arszyna długości, a $1^1/_2$ arszyna wysokości w kłębie.

Ranieni żołnierze szybko z ran swych się wyleczyli. Szkoda było tylko doskonałych psów, które tak dzielnie ze strasznym nieprzyjacielem walczyły.



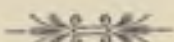
Listy do „Łowca Polskiego".

Nowawieś, *prz. Gostków.*

Ciekawy fakt donoszę wam do zakomunikowania.

Dziś, d. 21 kwietnia, borowy mój, Walenty Wawrzyniak, który służy u mnie od lat 30-tu i zasługuje najzupełniej na wiarę, przyprowadził żywego, dużego kozła. Zapytany, w jaki sposób go złapał, opowiedział, że idąc lasem bez zachowania najmniejszej ostrożności, spostrzegł w odległości 20-tu kroków przebiegającego kozła, kozioł ten skrył się w gąszczu. Po kilkunastu sekundach, spostrzegł prawie tą samą drogą uciekającego, drugiego kozła, za nim zaś trzeciego. Te dwa ostatnie w odległości 30-tu kroków od borowego, zaczęły się bość. Przyglądał im się koło kwadransa czasu, potem podszedł do nich, nie kryjąc się wcale, i obydwóch złapał za przednie nogi. Pomimo, że już dotknął się nóg kozłów, te jeszcze rzuciły się do siebie. Nie mogąc dwóch razem utrzymać, puścił mniejszego, a większego przytrzymał i przyprowadził mi.

G. S.



Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Rady, 13 kwietnia. P. gubernator radomski nadesłał wykaz broni, odebranej przez straż ziemską w 1903 r. Obejmuje on 345 strzelb. Zarazem p. Gubernator zawiadamia, że wyróżnił się swą działalnością w tym kierunku strażnik, Herman Kriger, z komendy pow. opoczyńskiego. Wobec tego postanowiono na nagrody dla straży gub. radomskiej wyasygnować 175 rb., a Krigierowi dać w nagrodę zegarek srebrny.

P. gubernator kielecki donosi, że najgorliwszym w tępieniu kłusownictwa w r. z. okazał się strażnik, Iwan Archangielski, z komendy włoszczewskiej. Rada przeto postanowiła nagrodzić go zegarkiem.

P. gubernator piotrkowski nadesłał wykaz odebranej broni, obejmujący 477 sztuk, a p. gubernator łomżyński takiż wykaz, obejmujący 117 sztuk broni palnej. Rada wyznaczyła nagrody na gub. piotrkowską 240 rb., na łomżyńską 60 rb.

Na wniosek Wydziału Ochrony i polowań Rada zaliczyła w poczet Członków Stałych Warszawskiego Oddziału, komisarza do spraw włościańskich pow. węgrowskiego, p. Aleksandra Witkowskiego.

Posiedzenie Rady, 20 kwietnia. Zarząd dóbr hr. Mielżyńskiego Kazimierza w pow. konińskim, prosi o zmianę trzech stróżów przy miejscach ochronnych, co też uskutecznione zostanie po sprawdzeniu konduity kandydatów.

P. Oberpolicmajster zawiadamia, że na skutek przedstawienia Rady rzeczywistemu Członkowi, p. Jakóbowi Jaskółowskiemu, wydany został bilet na prawo utrzymywania broni.

Strażnikowi ziemskiemu, Kandybie, z pow. iłżyckiego, na przedstawienie jednego z Członków, przyznano 25 rb. nagrody za wdrożenie 60 spraw przeciw kłusownikom.

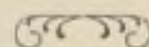
Posiedzenie Rady, 26 kwietnia. P. Gubernator kielecki nadesłał wykaz broni odebranej kłusownikom w 1903 r. przez straż ziemską. Wykaz obejmuje 270 strzelb. Postanowiono wysłać na nagrody dla straży ziemskiej 135 rb., a nadto strażnikowi Aleksandrowi Oleśko, który odznaczył się swoją działalnością w tępieniu kłusownictwa, wydać nagrodę w postaci srebrnego zegarka.

Wskutek odezwy ks. Siemca wyasygnowano 100 rb. zapomogi dla zakładu dla biednych chłopców przy ulicy Lipowej.

Posiedzenie Wydziału Ochrony i polowań, d. 22 kwietnia. Polowanie na tokach postanowiono otworzyć w dniu 24 kwietnia. W roku bieżącym, z powodu słabych toków ustawiono tylko 7 budek, a kandydatów na pierwsze polowanie jest zwykle bardzo wielu. Wobec tego postanowiono wnieść na Ogólne Zebranie uzupełnienie regulaminu polowań, opiewające, że kandydaci na pierwsze polowanie, o ile liczba ich przewyższy liczbę budek, w przeddzień wyjazdu będą losowani. Na następne polowania losowania nie będą obowiązujące.

W roku bieżącym z liczby Członków Wydziału wychodzą z kadencyi pp. Wigura i Paszkowski.

W pierwszem, tegorocznem polowaniu na tokach brał udział Członek Honorowy naszego Oddziału, Henryk Sienkiewicz. W myśliwskim dworku, w Osiecku, miłego gościa podejmowało grono współuczestników polowania. Myśliwi przybyli do dworku około godz. 7-ej popołudniu, zkąd bezzwłocznie wyruszono do lasu, na ciąg słonek, których już jednak było bardzo mało. Tylko jeden z uczestników miał sposobność skonstatować obecność trzech długodziobków, ale strzelał tylko do jednej słonki. Sąsiad jego również widział jedną sztukę—i na tem koniec. Natomiast strzelano do kilku kaczorków na przelotach, ale tylko Sienkiewicz zabił jedną sztukę, bardzo ładnie upierzoną. Po obiedzie, wesołej gawędzie i partyi winta w dworku, w nocy wyruszyli myśliwi na toki, dokąd było dobrych dwie mile. Późno, bo o godz. 3 i pół zasiedli oni w budkach, ale też w parę minut tok się rozpoczął. Pierwszy strzał padł o godz. 4-ej, poczem gęsto posypały się strzały. Gdy myśliwi wyszli z budek o godz. 6-ej, każdy prawie miał swego koguta, jednemu tylko szczęście posłużyło nadzwyczajnie, gdyż przydźwigał aż trzy sztuki. Wogóle zabito 9 kogutów, pomiędzy któremi był też i piękny kogut Sienkiewicza. Pogoda była prześliczna, noc ciepła i pogodna poprzedziła cudny ranek i dzień, pełen słońca. Po krótkim wypoczynku we dworze, w Łucznicy, gdzie myśliwych przyjmował plenipotent hr. Jakóba Potockiego, p. Budkiewicz, Sienkiewicz wraz z jednym z myśliwych wyruszył na bagienka, leżące w kierunku stacyi, zdążał bowiem na godz. 3-cią do Warszawy i po drodze zabił jeszcze jednego kaczora. Reszta towarzystwa udała się w kierunku dworka Osieckiego, zaglądając do sąsiednich bagien, ale spotkanie z kaczorami było niemal niemożliwe i powrócono bez rezultatu. Gdy pierwsza partya myśliwych wyruszyła z Osiecka, w dworku był już inny komplet myśliwych, przybyłych na toki.



Drobiazgi myśliwskie.

Konkursy strzeleckie w Warszawskiej strzelnicy przedłużone zostały do d. 8 maja. Liczba współubiegających się o nagrody jest bardzo mała.

Suka i lisięta. W majątku Dobromierz, pod Przedborzem, będącym własnością p. Piotra Czaplickiego,

pani Sokołowska zabiła liszkę od sześciu szczeniąt. Szczenięta te następnie wykopano i przyniesiono do dworu, gdzie przystawiono je do młodej suki, pokurcza po ogarzycy z kundlem, której 7 szczeniąt poprzedniego dnia potopiono. Narazie suka, obwąchawszy lisięta, odskoczyła od nich, lecz po krótkich „namowach", t. j. po chwilowem przytrzymaniu jej przy ziemi, pozwoliła się ssać, tak, że dziś, po trzech dniach, już uważa młode za swoje i nie da się do nich zbliżyć nikomu, obdzielając je hojnie pieszczotami macierzyńskiemi. *J. S. K.*

Zarząd polowań w ks Łowickiem. Ustanowiony dla księstwa Łowickiego etat polowań, składa się z naczelnika polowań z pensyą 6,000 rb. rocznie; pomocnika jego 2,400 rb., referenta 1,500 rb. urzędnika kancelaryjnego 420 rb., łowczego 1,800 rb., pomocnika łowczego 1,200 rb., intendenta 900 rb., oraz zarządzającego zwierzyńcem i bażantarnią 1,200 rb. Oprócz pensyi, wszyscy wymienieni urzędnicy otrzymują mieszkanie i specyalne dodatki na rozjazdy. Na posady referenta, kancelisty, łowczego, pomocnika jego, intendenta i zawiadowcy mogą być powołane osoby, nieposiadające rang, zatwierdzone jednak być powinny przez ministra Dworu.

Obrazy myśliwskie. Na wystawę stałą Towarzystwa sztuk pięknych w Warszawie ostatnio przybyły następujące obrazy olejne z życia myśliwskiego: Stanisława Masłowskiego „Scena z polowania", Wacława Pawliszaka „Polowanie z sokołami".

Karmienie zwierzyny—opis Sienkiewicza Z najnowszej powieści mistrza naszego „Na polu chwały" wyjmujemy parę urywków, zawierających ładny obrazek karmienia zwierzyny przez sympatycznego hodowcę. „Szaro było jeszcze na świecie — pisze Sienkiewicz,— gdy ksiądz Woynowski człapał przez wysoki śnieg z latarką do swoich zajęcy, do gołębi i kuropatw, które w śpichlerku, w osobnej zagrodzie hodował. Oswojona liszka, z dzwoneczkiem na szyi szła za nim w trop, a obok niej szpic łaciasty i jeż, którego w ciepłej, księżej izbie nie zmorzył sen zimowy". „Siadłszy na pieńku, postawił na drugim latarkę i, wziąwszy przed się płócienną torbę z ziarnem i pachnącemi piwnicą liśćmi kapusty, począł, ziewając głośno, miotać je przed siebie na polepę. Ale zanim jeszcze do tego się zabrał, z ciemnych kątów komórki przykicały zaraz trzy zające, a potem zamigotały w świetle latarki na kształt błyszczących paciorków, oczka gołębi i rdzawych kuropatw, które przysunęły się zbitem stadkiem, kołysząc główkami na giętkich szyjach. Gołębie, jako śmielsze, wnet zaczęły kuć dziobkami w polepę, kuropatwy zaś zbliżały się ostrożniej, spoglądając to na padające ziarno, to na księdza, to na liszkę, z którą opatrzyły się zresztą oddawna, bo schwytane jeszcze latem pisklętami i hodowane od maleńkości, widywały ją codziennie".

„Ksiądz zwrócił się do liszki, która, opierając się o niego bokiem, dygotała, jakby ją febra trzęsła: — A zawsze skóra na tobie drży, skoro je ujrzysz... Codzień to samo... Naucz że się przyrodzone żądze hamować, boć wikt masz zacny i głodu nie cierpisz". „—Wijesz się, wijesz—mówił, kładąc rękę na grzbiecie liszki...—Taka już paskudna w tobie natura, że ci nietylko jeść, ale i mordować trzeba. Chwyć ją Filuś za kitę, a jeśli ci co niepolitycznego pod nos uczyni, to ją ugryź..." „I tak mówiąc, rzucał głąbiki, a następnie znów miotał ziarno, zrzędząc trochę i na gołębie, że choć wiosna jeszcze nie blizko, a one już nadto koło siebie zachodzą i depcą, i gruchają".

„Psowaja i ružejnaja ochota", organ Moskiewskiego Towarzystwa Myśliwskiego imienia Cesarza Aleksandra II-go, rozpoczął w tegorocznym zeszycie styczniowym druk tłómaczenia dzieła hr. Józefa Potockiego, „Notatki myśliwskie z Indyj". Tłómaczenia dokonał p. J. A. Kołogriwow, miński, powiatowy marszałek szlachty, który następnie ma zamiar drukować tłómaczenia dzieł hr. Potockiego o Ceylonie i Somalilandzie, a w końcu pracę naszego redaktora, p. Jana Sztolcmana, „Nad Nilem Niebieskim".

Jak upiec cietrzewia? Piękne polowanie na toku daje trofeum, które pod względem kulinarnym niewielką przedstawia wartość. Kogut zabity na toku jest wprost niesmaczny. Otóż pewien znawca sztuki kucharskiej, poucza, aby w następujący sposób przyprawiać cietrzewie: Świeżo zabitego cietrzewia powiesić w śpiżarni na dni kilka, a następnie oczyściwszy z pierza i wnętrzności, zamarynować w occie, przegotowanym z korzeniami, lub zakopać na trzy doby w ogrodwej ziemi, zawinąwszy w płótno. Po wyjęciu obmyć w wodzie, nasolić i gęsto naszpikować młodą słoniną, a następnie piec na rożnie lub brytwannie przez godzinę, polewając sosem, który z siebie puści. Na dopiekaniu polać pieczyste topionem masłem i kilkoma łyżkami kwaśnej śmietany, po upieczeniu rozebrać go na części, ułożyć na półmisku i polać sosem, który zagotować, ażeby zgęstniał.

Zuchwały jastrząb. Jeden z myśliwych opowiada, że miał w swem gospodarstwie dwie oswojone wrony. Pewnego poranku usłyszał krzyk tych ptaków. Otworzywszy okno, ujrzał sporego jastrzębia—samca, atakującego wronę, lecz ta, niedosyć silnie uchwycona, broniła się energicznie. Gospodyni tymczasem wybiegła z kuchni i nakryła oba ptaki fartuchem. Myśliwy umieścił jastrzębia w klatce. Znamienne było zachowanie się drugiej wrony. Ujrzawszy walkę swej towarzyszki z drapieżnikiem, ulękła się tak, że pofrunęła do ciemnego kąta ogrodu i nie chciała stamtąd wyjść dzień cały.

Wystawa ptactwa W Wiedniu odbędzie się od d. 8 do d. 12 maja r. b. wystawa wszelkiego ptactwa z okazyi 30-lecia związku austryacko-węgierskiego hodowli ptactwa. Na wystawie będą zarówno ptaki domowe, jak i dzikie, oraz zaaklimatyzowane gatunki obce z różnych krajów. Będą również przyrządy do wylęgu jaj, oraz do chwytania ptaków żywcem. Osobny dział obejmie literaturę, poświęconą ptakom.

Wilk wściekły. Z Mińska donoszą, że w dniu 6 kwietnia, na jednem z przedmieść ukazał się wściekły wilk, który pokąsał włościanina, Multana. Następnie wilk pobiegł szosą i pokąsał jeszcze cztery osoby.

Wścieklizna i radyum. Leczenie wrzodów rakowatych i wilka promieniami radu dało już niejednokrotnie pomyślne wyniki. Obecnie dowiedli uczeni, że promienie radu niszczą nietylko drobnoustroje, ale również i jady pochodzenia zwierzęcego. W instytucie medycyny doświadczalnej w Petersburgu prowadzone są obecnie badania nad działaniem promieni radu na jad wścieklizny. Jad ten, najstraszniejszy z jadów zwierzęcych, mieści się głównie w systemie nerwowym zwierzęcia. Jeśli wziąć kawałek mózgu zwierzęcia chorego na wściekliznę i zaszczepić go pod skórę innemu zdrowemu, to zachoruje ono niechybnie. Doświadczenia z promieniami radu wykazały, że jeśli miejsce, gdzie został zaszczepiony jad wścieklizny, poddać niezwłocznie działaniu promieni radu, to zwierzę nie zachoruje na wściekliznę.

Na stanowisku w lesie.

— Ale że też to pan ani razu nie wystrzelił

— Bo zapomniałem naboi...

— To co pan tak wypatruje?

— Patrzę, czy nie widać kucharza, co miał ze śniadaniem do lasu przyjechać i nie widać go szelmy!

* * *

— Panie, odwołaj pan to swoje obrzydliwe psisko.

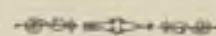
— Obrzydliwe psisko!.. proszę, a czy pan dostałeś dwa złote medale na wystawie, jak ten pies?

* * *

U wypychacza zwierząt.

— Co kosztuje wypchanie małpy?

— To zależy, czy moja skóra, czy pańska.



Wykazy Myśliwskie.

W rewirach Karola hr. Schönborna, Łukawice, na Szlązku, ubito w r. 1903.

a) Zwierzyny użytkowej: 44 daniele, 36 kozłów, 5,208 zajęcy, 173 króliki, 431 bażantów, 8,601 kuropatw, 8 przepiórek, 35 bekasów, 15 kaczek dzikich, 4 jarząbki, razem z różnemi 14,604 sztuk.

b) Szkodników: 15 lisów, 18 kun, 262 tchórzów, 630 łasic, 460 psów i kotów, 1,173 wiewiórek, 24 jastrzębi, 149 krogulców, 1,476 wron i srok, razem sztuk 4,207.

Kalendarz Myśliwski

ILUSTROWANY

na 1904 rok

nakładem i pod redakcyą

„ŁOWCA POLSKIEGO“

wyszedł z druku i jest do nabycia w Redakcyi (Warecka 15) i we wszystkich księgarniach.

Skład główny w księgarni K. TREPTEGO (Marszałkowska 149).

Cena egzemplarza w oprawie **75** kop.
„ „ bez oprawy **60** „

Treść Nr. 9 „Łowca Polskiego".

Aklimatyzacya bażantów *T. P.*—Zając pospolity. *Wiktor Stephan* (ciąg dalszy). —Terriery i pinczery. *August Sztoleman* (ciąg dalszy). — Polowanie na łosia. *J. B.* (dokończenie).—Wyprawa myśliwska do Mongolii. *C. W.* (ciąg dalszy).—Przyczynek do artykułów p. t. „Tępienie Wilków“. *K. Satkowski.* —Tałysz. *Wł. Czerniejewski.* (ciąg dalszy). —Tydzień polowania na niedźwiedzie w nowogrodzkiej guberni. *B. I. T.* — Polowanie na tygrysa w Turkiestanie. — Listy do „Łowca Polskiego“ *G. S.* — Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa. — (Konkursy strzeleckie) (Suka i lisięta) (Zarząd polowań w ks. Łowickiem) (Obrazy myśliwskie) Karmienie zwierzyny) (Psowaja i rużejnaja ochota) (Jak upiec cietrzewia?) (Zuchwały jastrząb) (Wystawa ptactwa) (Wilk wściekły) (Wścieklizna i radyum). Humorystyka.—Wykazy myśliwskie.

W felietonie: Przygoda myśliwska redaktora.

Ilustracye: Mieszaniec lwa z tygrysem.

Prenumerata „Łowca Polskiego“ wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO“ 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO“ prenumerować można w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO“ Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego“ adresować należy:
Smolna 34, w Warszawie.

OGŁOSZENIA.

Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Апрѣля 1904 г. Redaktor i wydawca Jan Sztolcman.

Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.